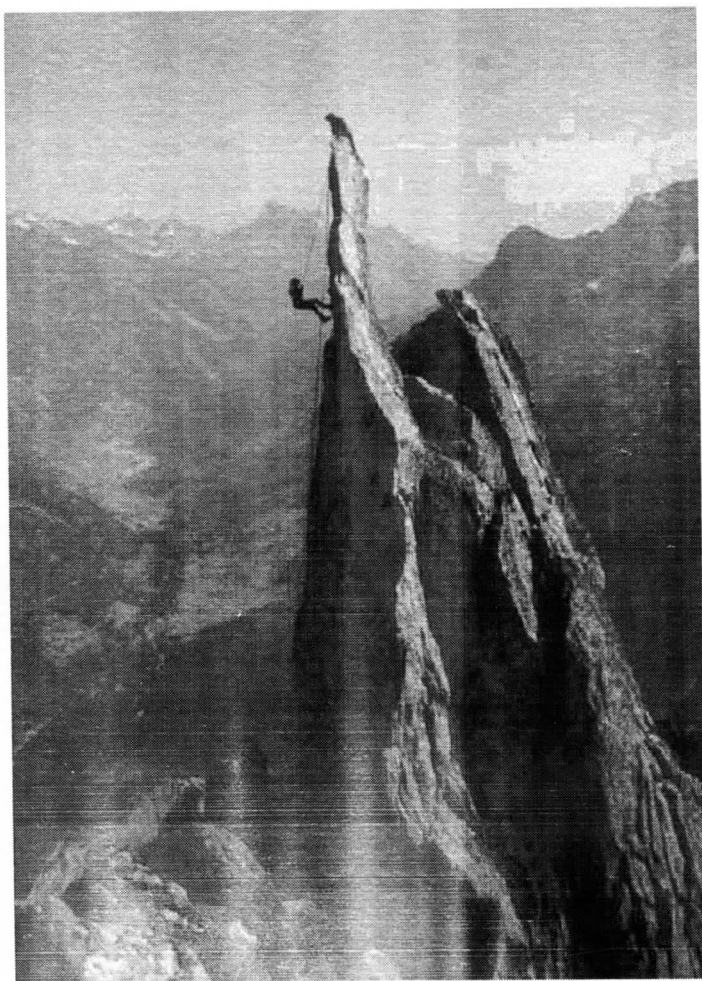




# ASEKURANT

KLUB WYSOKOGÓRSKI w OLSZTYNIE

---



13/2001

**W numerze:**

Trzy dekady .....	4
Słowacja 2001 .....	5
„Ze wspomnień jajarza” – złote jajo A.D.2000 .....	6
Dzień .....	9
To tylko skałki .....	13
Jak dojechać do Podlesic? .....	15
Choroba wysokogórska .....	16
Przewiska z betonu i lamperii .....	18
Przez Kryskę i Grubego .....	21
Z cyklu: „Rozkosze Gór” (część 2) .....	22

**Na okładce:**

Z cyklu: „Rozkosze Gór” (część 1)

***ASEKURANT nr 13 (październik 2001)***

*Biuletyn KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO  
w Olsztynie*

*Zespół redakcyjny:*

*Robert Smolik*

*Mariusz Rutkowski*

*Mirosław Dunin-Sułgostowski*

Skład: Mariusz Rutkowski; Druk: Robert Smolik; foto: autorzy rozmaici,  
często nieznan, rysunki: Mirosław Dunin-Sułgostowski.

## TRZY DEKADY

Po ubiegłorocznych obchodach 25-lecia Klubu Wysokogórskiego w Olsztynie Starsi Klubu ogłosili, że w roku 2001 będziemy świętować... 30-lecie – istnienia w naszym mieście alpinizmu. Podobno alpinizm (*alpinismus ordinarius*) został przywleczony częściowo z Warszawy (nosiciel: Jerzy Pepo!), a częściowo wyinkubował się w wilgotnym klimacie warmińskim w umyśle Stanisława Korybuta-Daszkiewicza. Potem zaraza zataczała coraz szersze kręgi, błyskawicznie opanowując nowe sektory miasta, by wreszcie przekroczyć rogatki i rozlać się po pięknej, zdrowej, płaskiej ziemi mazurskiej. (Dokładnie przebieg epidemii zilustrował w 8 numerze ASEKURANTA z 1995 r. Jurek Pepo!)

W podobnie szybkim tempie został wypuszczony ten numer ASEKURANTA. Planowany na grudzień miał stopniowo obrastać w nowe materiały, gdy nagle Prezes z właściwym sobie wdziękiem wkroczył z butami (bez raków) w spokojny i senny cykl redakcyjno-wydawniczy: „Stary, wicie-rozumiecie, wyższa konieczność, Dobro Klubu, 30-lecie i te sprawy, działaj, nieważne że będzie denny, w końcu to 13 numer” i tego typu wkręty zaczął mi wkręcać. Jako że do najtwardszych nie należę po takim zmięczeniu rozlałem się do reszty. Postanowiłem się przystawić...

Zawartość numeru odzwierciedla i w dużym stopniu tłumaczy sposób, w jaki powstawał. Są rzeczy historyczne i prehistoryczne, co jednak można złożyć na karb Jubileuszu. Panhistoryczny charakter ma zaś na pewno zestaw klubowych przezwisk (suchy, bez komentarza – a może warto by przypomnieć kilka historyjek, związanych z genezą niektórych, co bardziej

soczystych *Hibernatusów* czy *Ludzi Beczek?*). Są także wspomnienia świeższe z gór i ze skałek. Dobrze byłoby powrócić do zwyczaju odnotowywania i publikowania w ASEKURANCIE wykazu przejść klubowych, ale to zależy już od zasobu posiadanych na ten temat informacji. Z tym jest różnie, a raczej cały czas tak samo: jesteśmy społeczeństwem ludzi skromnych i chwalenie się jest rzeczą naganną! Pora zatem na tradycyjny w tym miejscu apel: informujcie redakcję o tym, gdzie byliście i co robiliście (z naciskiem na wspinanie, choć i o innych rzeczach chętnie się dowiemy...). Bardzo skromni i wstydlivi mogą np. zostawiać kopertę albo dyskietkę z danymi na ten temat – doszło do tego, że oficjalnie prosimy o dawanie kopert...

Drugi, tradycyjny apel, dotyczy tekstów. W zasadzie poza jednym wyjątkiem (on też jest człowiekiem skromnym, ale go wymienię: Piotr Minkiewicz) nikt nic nie pisze... Jeszcze tydzień temu dysponowałem wyłącznie tekstami Piotra i dopiero jakieś czary Prezesa Nicolasa sprawiły, że „trzynastka” nie jest autorską broszurą Granata (niech Was nie zmyli różnorodność podpisów pod artykułami, to ciągle ON). Sposób przekazywania wyciętych do redakcji: bezpośrednio lub patrz wyżej.

Pisząc to nie wiem, czy jakieś fatum trzynastkowe nie opóźni wydania tego ASEKURANTA czy wręcz go nie uniemożliwi. Jeśli tak się nie stanie i rzeczywiście czytacie te słowa, wybaczenie pośpiech i pamiętajcie, że to tylko 13. Czternasty numer może być już tylko lepszy – zwłaszcza gdy będzie z czego go złożyć.

Z tradycyjnym „Możesz iść!”

Redaktor

# SŁOWACJA

## 2001

W pierwszej połowie sierpnia „krajna deszczowców” okazała się łaskawa dla naszej czwórki (Ania+Paweł i Karolina+Marek) poszukującej wrażeń w Słowackich Tatrach.

„Oswajanie” nowych rejonów zaczęliśmy od doliny Staroleśnej, gdzie spędziliśmy kilka słonecznych dni. Zadomowiliśmy się tu w wygodnej kolebie pod Oстрыm Szczytem, która ma tę dodatkową zaletę, że jest otwarta i zasypiać w niej można oglądając zachód słońca a potem gwiazdy. Wspinaliśmy się na Ostrym Szczycie i na Małym Lodowym Szczycie (godny polecenia Czeresniowy Filar). Ściany tu ładne, lite i nie za długie a do domu niedaleko więc robiąc dwie drogi dziennie szybko zaspokoiliśmy pierwszy głód poznania nowego i postanowiliśmy przenieść się dalej.

Dzień na przenosiny wybraliśmy akuratny bo właśnie zebrało się na deszcz i gradobicie. To był jedyny dzień deszczowy, potem padało już tylko nocami i niestety także nad ranem. Przez Czerwoną Ławkę przeszliśmy do Doliny Pięciu Stawów Spiskich a

potem do Małej Zimnej Wody aż pod Kościoły, gdzie rozgościliśmy się w dużej kolebie. Miała ona jednak już swoich stałych lokatorów, a raczej lokatorki – wszystkożerne łasiczki, które bezczelnie kradły wszystko, co zapomnieliśmy schować. W międzyczasie straciliśmy jednego uczestnika wyprawy i do końca, już we trójkę, wspinaliśmy się na Żółtej Ścianie, Pośredniej Grani, Łomnicy i Lodowej Kopie.

I wszystko byłoby miło gdyby nie przygodni złodzieje, którzy odwiedzili pod naszą nieobecność kolebę i wynieśli nam czołówki, kurtkę i .... flaszkę.

P.S.

### OSTRZEŻENIE !!!

Jeżeli znajdziecie się w tych okolicach unikajcie dwóch dróg:

1. Abraka-Dabraka na Żółtej Ścianie – prawdziwa abrakadabra ze strasznie zaniżoną wyceną, ze strasznymi porostami, ze strasznymi trawersami.
2. Droga Korosadowicza na Pośredniej Grani – kruszyzna !!!

A.B.

# „Ze wspomnień jajarza”

– złote jajo A.D.2000

(debiut, kontynuujący świetny cykl  
Granata)

Mieszałem łyżką w starej aluminiowej menażce, w której dogotowywał się właśnie ryż, gdy zza świerka na którym wisiały przemoczone buty wyłonił się żołnierz WOP-u.

„Co pan tu robi?” – zapytał.

„Gotuję obiad” - odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

„Ale skąd pan się tu wziął?” – drażył dalej, spoglądając podejrzliwie na spory plecak stojący obok, maszynkę i inne akcesoria obce tatrzańskiemu ścieżkowemu turyście.

„Z gór – odparłem, z grani Tatr Zachodnich” (tu pokazałem ręką akurat chwilowo widoczną między chmurami grań ponad Tomanową Przełęczą).

„Przecież tam nie ma szlaku ! Dokumenty proszę” – ciągnął dalej (znakowanego szlaku rzeczywiście nie ma ale wyraźnie uczęszczana ścieżka

jest !, choć na mapach podają że jest tu rezerwat ścisły).

„Którędy pan na tę grań wszedł ?” - pytał dalej. Podałem paszport, w którym była wbita przed 4 dniami pieczęć z przejścia granicznego Chyżne. Bujać czy....., tylko po co, czy jestem jakimś przemysłowikiem ?

„Od wsi Huty, gdzie grań ma swój początek” – odparłem odważnie (do licha, przecież razem ze Słowacją jesteśmy już na schodach Unii Europejskiej !).

„Zatem przekroczył pan nielegalnie granicę Państwa” – stwierdził służbiście, z pewną satysfakcją.

„Nie przekroczyłem, tylko ze względu na mgłę, deszcz i śliskie wapienne skały Ciemniaka, idąc samotnie omijam ten fragment grani po polskiej stronie bezpieczną i łatwą ścieżką” – odparłem zgodnie z prawdą.

Odląłem wodę z ryżu i łączywie zabrałem się za konsumowanie obiadu, bo od szeregu godzin nic nie jadłem, gdy tymczasem żołnierz przez radiotelefon (dużo większy od COS-owych) przeliterowywał do centrali moje nazwisko. Chciałem poczęstować go

obiadem, lecz odmówił (pewno bał się podstępnego zatrucia). Potem czekałem niemal dwie godziny na przełożonego WOP-isty, który podszedł z Ornaku by wręczyć mi wezwanie do stawienia się w poniedziałek o godz. 10<sup>00</sup> w Strażnicy Straży Granicznej w Nowym Targu, w celu złożenia wyjaśnień. Ostatecznie dopiero pod wieczór wyruszyłem w dalszą drogę. W Czerwonym Żlebie natknąłem się przy ścieżce na źródelko, o którym nic nie wspomina Adam Piechowski w przewodniku „Grań Tatr”. Gdybym o nim wiedział, właśnie tu zatrzymałbym się na obiad i ..... nie zdobyłbym złotego jaja roku 2000.

Niebawem się ściemniło i wyszukanie dobrego miejsca na namiot stało się trudniejsze, lecz intuicyjnie znalazłem takie na trawiastych północno-zachodnich stokach Ciemniaka poniżej Chudej Turni, skąd wspaniale prezentowały się światelka leżącego u stóp Zakopanego. Lecz już po godzinie nadeszły chmury i rozpętała się potężna burza. Najpierw szalony wiatr, potem gwałtowne błyskawice i gradobicie jakiego jeszcze w namiocie nie przeżyłem. Hałas był niewyobrażalny a ja zastanawiałem się czy namiot Salewy nawałnicę przetrzyma. Siedziałem w kucki na podwójnie

złożonym karimacie obawiając się porażenia piorunem. Całe szczęście że znajdowałem się ok. 300 m poniżej szczytów Czerwonych Wierchów. Dopiero przed północą, po 2,5 godzinach burza ucichła. Namiot przetrzymał i następnego dnia w niedzielę, na Przełęczą Liliowe zakończyłem przejście grani Tatr Zachodnich. Ale prawdziwa przygoda była dopiero przede mną.

W poniedziałek w Nowym Targu spisywanie protokołu ze złożonych wyjaśnień zajęło 1,5 godziny, a jeszcze się naczekałem bo przede mną jacyś turyści tłumaczyli się w podobnej sprawie. Tam dowiedziałem się, że zostanie wszczęte postępowanie karne przeciwko mnie ponieważ popełniłem przestępstwo z art. 264 § 1 kodeksu karnego. Śledczy, porucznik Wojciech Plewa poinformował mnie, że przewidując ewentualność omijania jakiś wierzchołków po polskiej stronie powinienem wcześniej (tu w Nowym Targu lub w Zakopanem) zgłosić się do Straży Granicznej i poinformować ich o takiej możliwości, a wówczas moja obecność po naszej stronie granicy nie byłaby przestępstwem.

Po miesiącu otrzymałem od zakopiańskiego prokuratora do wiadomości pismo przesłane do Sądu Rejonowego w Zakopanem z wnioskiem o warunkowe umorzenie postępowania karnego ponieważ ...”wina i społeczna szkodliwość czynu nie jest znaczna, okoliczności jego popełnienia nie budzą wątpliwości, a jego postawa, właściwości i warunki osobiste oraz dotychczasowy sposób życia uzasadniają przypuszczenie, że mimo umorzenia postępowania będzie przestrzegał porządku prawnego i nie popełni przestępstwa”. Na rozprawę zostałem wezwany do Zakopanego na 22 grudnia, lecz za radą Darka Firkowskiego nie pojechałem tylko wysłałem pismo. W styczniu otrzymałem postanowienie sądu - postępowanie warunkowo umorzono na okres 1 roku próby, zasądzając koszty sądowe w wysokości 112 zł + 300zł na rzecz Tatrzańskiej Fundacji Pomocy Społecznej.

Jeśli czytelniku myślisz że sprawa została wreszcie zakończona, to ci się tylko wydaje.

W marcu pewnego wieczoru do mojego domu zapukały dwie osoby, przedstawiając się jako kuratorzy

sądowi przydzieleni do sprawowania opieki nad moją osobą. Mnie nie było, i nie wiem czy uwierzyli Ani (moja żona), że Jej nie biję, nie biorę narkotyków, nie upijam się i że wracam na noc do domu. W odpowiednim kilkustronicowym sprawozdaniu tak podobno napisali. W lipcu nie chcieli im się już przychodzić, tylko zadzwonili i pytali Anię czy nadal jestem taki grzeczny.

Jest październik, na Słowacji zdążyłem być w tym roku już dwa razy. Teraz czekam na 22 grudnia, kiedy to zakopiański sąd powinien ostatecznie już bezwarunkowo umorzyć postępowanie, a jednocześnie boję się czy po tym terminie bez opiekuńczych kuratorów nie zejde na złą drogę. Czy mogę liczyć na Ciebie drogi Klubowiczu?

Ps. Gdybym WOP-iście nakłamał, co przecież było nietrudne, nie byłoby całego zamieszania i straty czasu. Wówczas namiot rozstawiłbym wyżej, gdzieś na wierzchołku Małolączniaka lub Kopy Kondrackiej, co przy tak nagłej i szalonej burzy mogłoby źle się dla mnie skończyć. Wygląda na to, że za 412 zł kupiłem życie. I jak tu nie wierzyć w opiekę swojego Anioła Stróża.

*Jerzy Pepol*

## DZIEŃ

Budzę się. Jest ciemno. Na zewnątrz słychać przytłumione głosy. Co pewien czas przedzierają się przez nie głośno wypowiedziane zdania. Potem klótnie i okrzyki. Nagle ktoś otwiera namiot i zaczyna przerzucać rzeczy w przedsionku. Podnoszę głowę. To Młody szuka u nas swoich bambetli. Przewracam się na drugi bok, zamykam oczy, jeszcze obok krótkie przekleństwa Garwola i zapadam w drzemkę przerywaną hałasem na dworze. Współczuję Mariuszowi, który śpi w turni.

Poranek uspokaja się, kiedy chłopcy opuszczają Bazę. Pomimo ciszy nie mogę już spać. Myślę o tym, że za parę godzin czeka nas to samo. A więc to dzisiaj. Nieodwołalnie zaważą się losy wyprawy. Czuję niepokój. Z jednej strony cieszę się, że wyruszamy, że wreszcie coś zależy od nas, z drugiej zazdroszczę Mirkowi, że zostanie. Pragnienia i strach przed nimi. Taki stan przeżywam zawsze przed

wyjściem. Pytania, dlaczego i po co przybierają wtedy na sile. Na szczęście wiem, że wystarczy zrobić pierwszy krok, a wszystko to minie. Dlatego rozsuwam zamek śpiwora, potem namiotu i żeby nie nakładać butów staję na zewnątrz, z nogami w środku i zlewam się na to wszystko, na te swoje obawy, na największą zaspę obok. Mrużę oczy i chłonę świat. Góry, śnieg, błękitne niebo i słońce. Dopiero teraz czuję się silny i pełen nadziei. Czy istnieje lepsza poranna modlitwa?

Mirek z Pawłem obudzili się również. Zdaję im relację z przepięknej pogody. W końcu ścieżką wydeptaną w śniegu idziemy do Mariusza, który nie chce słyszeć o wstawianiu zmęczony nocno-porannymi przejściami. Wreszcie jemy wspólne śniadanie. Pomijam swoją kolej przy menażce z kaszką, na którą nie mogę już patrzeć. Składamy kanadyjczyka nućcąc nieaktualną piosenkę: Trzynastego trzeba zwinąć Keltyego. Gdy namiot suszy się pakujemy swoje plecaki i dzielimy z Mirkiem tym, co pozostało. Niewiele tego jest, bo Baza po kilku dniach przeczekiwania śnieżycy przypomina sklep z czasów głębokiego

komunizmu. Wszystko, co najlepsze (słodczyce!), zasypane jest w Jedyńce. Objuczeni worami żegnamy się i gdy dochodzimy do końca polany odwracamy się jeszcze raz, by

nagimnastykować, żeby znaleźć coś do jedzenia. Doganiamy i przeganiamy grupę Austriaków. Po tylu dniach działalności mamy znakomitą kondycję. Za to łapie nas słońce. Po



pomachać kijkami, a daleko czerwona postać odpowiada nam uniesieniem ręki.

Wspinamy się szybko w śnieżnej rynnicy. Śniegu jest mnóstwo. Idziemy w butach trekkingowych. Kto by przypuszczał, że tu gdzie zawsze trawa i kwiaty będą metrowe zaspy? Na białej płaszczyźnie krzyżują się ślady świstaków. Muszą się teraz nieźle

obu stronach, na zboczach, widać już małe lawinki. Tutaj jest na razie bezpiecznie. Uważamy bardziej podchodząc na Przełęcz. Po wejściu na nią tradycyjnie odpoczywamy. Zmęczenie i widoki zapierają dech w piersiach. Wszystko białe, pozmieniane, a Góra w zimowej szacie robi ogromne wrażenie. Zachwyceni robimy zdjęcia. Droga przed nami nie

wygląda zachęcająco. Trawers pokryty śniegiem. Co prawda daje to lepsze oparcie dla nóg, ale myślimy tylko o tym, kiedy ta cała masa spłynie w dół? Zresztą już jedna lawina leży rozłożona na przełęczy. Przechodzimy przez nią, a potem porozumiewawczo patrzymy na siebie z Mariuszem i przez całe zbocze zapieprzamy niczym Ben Johnson z Carlem Lewisem. Garwol pewnie lekko zdumiony podąży zaraz za nami, a gdy sapiąc schodzimy do potoku jesteśmy pewni, że pobiliśmy rekord odcinka. Na morenie mijamy się z Rosjanami. Wyglądają strasznie. Nigdy nie widziałem tak popalonych słońcem twarzy. Sprzęt i wielkość plecaków też stawiają włosy na głowie. Miejsce, w którym ukryliśmy skorupy przypomina żerowisko dzików. Chłopacy musieli się nieźle napracować, żeby znaleźć schowek. Dzięki nim nie zatrzymujemy się tu na długo. Niestety Garwol ma buty gdzie indziej i prawie pół godziny zajmują mu nerwowe poszukiwania. Nie zmieniam treków. Wolę iść w mokrych, a za to donieść suche botki. Jest gorąco i każdy krok przypomina teraz człapanie w kałuży. Przez lodowiec wije się jedna, głęboko wcięta

w śnieg ścieżka. Po lodzie i wodzie ani śladu.

Idzie nam się coraz ciężiej. Cholerny upał i cholerne wory. Powoli mam dość i rzucam mięsem na prawo i lewo. Odpoczynki stają się coraz częstsze, coraz dłuższe. Wreszcie dochodzimy do pierwszych namiotów. Tylko niektóre są zamieszkałe, wtedy ścieżka bezwstydnie przechodzi przez ich środek, reszta to skrawki materiału i pogięte rurki wystające spod śniegu. Nasz obóz jest jeszcze kilkaset metrów dalej. Rozłączamy się z Garwolem, który chce pójść szybciej i snujemy się z Mariuszem w górę i w dół po morenach klnąc na twórcę tej wymyślonej drogi. W głębi duszy cieszę się jednak, że to nie ja musiałem ją prowadzić przez te niewidoczne szczeliny. W końcu dostrzegamy Jedynekę. Jurek, Łata i Młody odkopują Marabuta, a Garwol krząta się przy o dziwo niezasypanej Salewie. Chłopaki jakoś sztywno odpowiadają na powitanie, a my wrzucamy się do środka naszego namiotu. Nareszcie koniec! Leżąc wyczuwam rękami złożone zapasy, znajduję Grześka i zajadam się nim. Nareszcie słodycze! Dzielimy się z Garwolem

spostrzeżeniami o drętwej atmosferze i dochodzimy do wniosku, że chłopacy są podenerwowani tym, że musieli zrobić wszystko sami. Przez to, że wyszli wcześniej, bo nie chcieli moczyć nóg, to cała robota spadła na nich automatycznie. Ponadto ich Marabut jest porwany i trzeba go zszywać. Żeby rozładować sytuację organizujemy pożyczanie palników, garów i wszystko wraca do normy. Wymieniamy się informacjami o przebytej drodze. Suszymy rzeczy. W pałącym słońcu trwa to bardzo szybko. Większość czasu odpoczywam w pozycji poziomej, popijając Isostara i przygotowując jedzenie. Przypomina to bardziej niedzielny piknik, ale należy nam się to za przeżycia ostatnich dni. Dokładnie przed wejściem do Salewy wystaje ze śniegu kawałek masztu z odrobiną niebieskiego materiału. To namiot chłopaków od Jacka. Wygląda niesamowicie w perspektywie ze stojącymi skorupami – namiot mniejszy od buta. Na niebie nie ma ani jednej chmurki. Jest to najpiękniejszy dzień wyprawy. Długo czekaliśmy na taką pogodę. Żałujemy, że nie jesteśmy na górze i nie atakujemy szczytu. Z drugiej

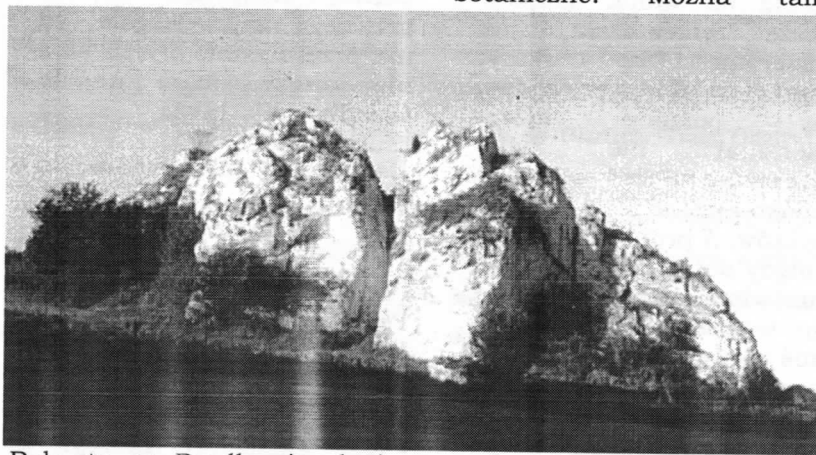
strony dobrze tak leżeć beczynnio, rozkoszować się chwilą. Spokój przerywany jest hukami lawin, ale na nikim nie wywiera to już wrażenia. Kiedy po południu robi się chłodno omawiamy plany na jutro. Kto ma co zabrać, o której wstajemy, itp. Najwięcej dyskusji rodzi sprawa liny, ale w końcu przecinamy ją na połowę. Powinno wystarczyć, a o ile mniej do noszenia. Droga do Dwójki i tak da nam ostro w kość. Wieczorem łączymy się z Mirkiem w Bazie. Żegnaj się z Młodym, który nie idzie dalej. Ma znieść część rzeczy, a przede wszystkim jedzenie, na dół. Układamy się do snu. W Salewie nie jest zbyt wygodnie dla naszej trójki. Żeby było jeszcze ciasniej ładuję do śpiwora botki, skarpety, wewnętrzne rękawiczki, czapkę, krótkofalówkę, zegarek i czołówkę. Leżąc myślę o domu. Nie długo, bo do trzeciej nie zostało zbyt wiele czasu.

Zasypiam.

*Nicolas*

## To tylko skałki

Akurat około Nowego Roku przypomniało mi się, że jestem żywą i czującą istotą, a nie maszynką do przemiału i wyrzucania na łamy "Asekuranta" cyferek na temat kto, kiedy, gdzie i jak trudno, czasem wbrew protestom osób zainteresowanych. Ale i ja mogę napisać wspomnienia w innej tonacji. W skałkach byłem w ubiegłym roku tylko raz.



Było to w Rzędkowicach i okolicach. Było z Olsztyna osiem osób: Andrzej Łata z czwórką kursantów, Demon, Jarząbek i ja. Ponieważ wspinałem się z Demonem i

Jarząbkim, zostawię Andrzeja w spokoju (sorry). Mimo dość już długiego stażu zdarza mi się jeszcze znaleźć miejsca, w których się nie wspinałem. Nawet w okolicach Zawiercia. Wspinaliśmy się na Aptece (jakoś nigdy dotąd nie jej nie odwiedziłem), na Wilczym Kamieniu (in. zwanym Faszystowskim Ogródkiem - jest tam m.in. Droga Führera, Kominek Duce, Filarek Luftwaffe, Anschluss i Kominek Sudecki). Na ten Wilczy Kamień pies z kulawą nogą nie zagląda. Nie ma tam obitych dróg, nie ma też wyżłizganych, są za to dość botaniczne. Można tam

uszkodzić sobie spodnie o ostre występy, co w naszych wapieniach jest rzadkością. Do podstawy ścian trzeba przedzierać się przez chaszczę, w formacjach

wklęsłych pełno jest pajęczyn. A to w końcu tylko kilka kroków od Rzędkowic. Wyjazd niesamowicie mnie podbudował. Może nie dzięki przejściom, ale dzięki klimatom. Mieliśmy np. wizytę psa, dalmatyńczyka, który był zainteresowany naszym obiadem. Jarząbek przywitał go słowami: "Dalmi, ty maszkaro huculska, won od naszego obiadu". W tym momencie maszynka gazowa, na której się wymieniony obiad gotował, wywróciła się w trawę, chociaż nikt jej nie dotknął. Ewa uratowała życie tonącemu pajęczkowi, chociaż na widok pajaków zawsze wrzeszczała, jak obdzierana ze skóry. Jarząbek miał kamerę wideo, przy pomocy której uwieczniał nie tylko wspinaczki, ale i stosunki damsko-męskie wśród insektów. A propos insektów, to nigdy dotąd nie widziałem tylu świetlików, co w czasie tego wyjazdu. No i jagody, jakoś nigdy wcześniej o nich nie myślałem. Oczywiście nie zrealizowaliśmy wszystkich planów, np. przez pierwsze dwa dni (z czterech) ociągałiśmy się z podziwianiem zachodu Słońca na Wysokiej. Trzeciego dnia zaczął padać deszcz, który zgonił nas z

Wilczego Kamienia. Chociaż podziwialiśmy piękne mgły wieczorem (Jarząbek z poświęceniem zrobił zdjęcie, ale w formie czarno-białego wydruku traci na uroku). Poza tym zaczęła mi się podobać knajpa pod Wysoka, Jakoś dotąd jej nie lubiłem, a teraz polubiłem (jej uroki odkrył także Andrzej). Było pięknie.

Ktoś mógłby mnie zapytać, czemu o tym gładzę, bo to tylko nasza Jura i nie zdziałalem nic, czym mógłbym się pochwalić. To prawda, ale długo po powrocie miałem ochotę śpiewać i tańczyć. Wielką klątwą zaklinam się i przysięgą zaprzysięgam, że nie przesadzam, a jeśli ktoś nie wierzy, mam na to świadków, także spoza Klubu.

### **Chloryan Teorycy**

Ps. Nie chwale się konkretnymi przejściami, bo wychodzę z założenia, że najpierw powinni się pochwalić wszyscy, którzy robią trudniejsze rzeczy, niż ja, a nazbierałoby się takich osób sporo.

## Jak dojechać do Podlesic?

Mieliśmy jechać wygodnie tzn. przespać spokojnie noc z piątku na sobotę i wyjechać z Olsztyna dopiero w sobotę pociągiem do Warszawy o 4<sup>02</sup>, tam szybka przesiadka i ok. 11 bylibyśmy w Zawierciu. Połączenie zostało znalezione w Internecie. Niestety, szanowna Dezinformacja Kolejowa nie umieściła tam wiadomości, że pociąg ten jeździ tylko w dni robocze. Następny był o 5<sup>08</sup>. Pojechaliśmy nim. Mieliśmy przesiadkę w Działdowie, następnie dwie godziny czekania w Warszawie (nie skorzystaliśmy z opcji połączonej z przesiadką w Katowicach). W Zawierciu byliśmy o 13<sup>00</sup>. Kupiliśmy bilet na autobus do Podlesic na 14<sup>30</sup>, po czym poszliśmy na pizzę (bardzo dobra). Spożywanie pizzy zakończyliśmy na styk i udaliśmy się na stanowisko 12. Autobus zaraz podjechał i zadaliśmy rutynowe pytanie, czy to ten, który jedzie przez Podlesice. Odpowiedź pasażerów

brzmiała, że to nie ten. Ten właściwy odjechał o 14<sup>20</sup>, zresztą zgodnie z rozkładem, który niedawno się zmienił, ale wiadomość o tym nie dotarła jeszcze do kas biletowych. Na szczęście autobus, do którego wsiedliśmy jechał przez Wygodę, a stamtąd było już blisko. Rozbiliśmy się po 16 i nawet jeszcze wspinaliśmy się tego dnia.

Nic to. Druga połowa naszego sześciuosobowego zespołu jechała z Olsztyna do Podlesic przez Zieloną Górę (samochodem), skacząc po drodze na spadochronach i wstępując do Aquaparku w Polkowicach. To w ciągu 26 h. Następnego dnia wstąpiliśmy razem na Górę Zborów i położyliśmy po Wielbłądzie. Część zespołu wróciła potem do Olsztyna. Trasa Olsztyn - Zielona Góra - Podlesice - Olsztyn ze wszystkimi atrakcjami zajęła Im 49 h. I po tym wszystkim jeszcze wiedzieli, jak się nazywają. Może kiedyś wstąpią do naszego Klubu.

*Trupus Malignus*

## Choroba wysokogórska

Egzamin testowy na kursie skałkowym 2001 znowu przyniósł parę rewelacji. Technika potrafi powalić najlepszego. Taka ławeczka to - sposób sztucznych ułatwień. Można zawiesić ową na haku i urzyć do podciągania, najlepiej za pomocą nóg. Pewna dama zaskoczona tym terminem napisała po prostu - ławeczka służy do odpoczynku. Natomiast - spit wbija się w hak, a w ring np. ekspres. Dodatkowo - ring jest stanowiskiem stałym, a spit można usunąć. Prościej - ring to jest kuleczko. A stoper - jest węzłem dodatkowym zabezpieczającym główny. Cały ten sprzęt jest niemiły - ósemka skręca linę a w ogóle jest ciężka i duża. W dodatku - liny bliźniacze zawsze poruszają się w tym samym kierunku, a podwójne nie. Były też odpowiedzi tajemnicze - lina podwójna jest zawsze połówkowa, a bliźniacza nie zawsze. Milczeniem należy pominąć rewelację, że kontr fifi to raki, a współczynnik odpadnięcia jest - ilorazem długości liny pracującej do długości przelotu.

Może ciekawsze będzie wyjaśnienie terminu *on sight*. Chodzi o - wspinaczkę będącą zwróconym twarzą do ściany. Rannego natomiast - opuszczamy na

wyblince i (wielokrotnie) na węzle ratowniczym. Technika Dulfera nie nastęrcza trudności - wspinamy się na wyprostowanych rękach, za to - w kominach stosujemy podpieranie. Inny wariant techniki Dulfera - wspina się pierwszy, do niego dochodzi drugi, a potem do niego ten pierwszy. Szczególnie uważać trzeba podczas halnego - bo to silny wiatr, który wieje od dołu do góry i zawsze na zmianę pogody. Zagroża poderwaniem człowieka do góry. Wiatr ten powstaje przez odbicie się od ściany góry.

Jest pewne, że w kruszyźnie należy unikać ciężkiego sprzętu i poruszać się po skosie. Natomiast - w kruchości poruszamy się ostrożnie, robiąc minimalne ruchy. Powyżej 4000 metrów trzeba uważać, bo dopadnie nas - choroba wysokogórska, kiedy to organizm choruje na niedotlenienie. A Jan Długosz - był księdzem, zdobywcą wariantu R na Czarnym Mnichu, który dodatkowo - wprowadził wariant R i coś jeszcze. Pamiętajmy, że technika trzech punktów jest - tworzeniem stanowiska, bo dobre stanowisko ma trzy elementy. Gdyby z jakiegoś powodu należało wezwać pomoc, najskuteczniejsza okaże się - czerwona rakietka, efekty pirotechniczne i telefon komurkowy, obowiązkowo noszony w apteczce. Jeśli nie zadziała, pozostaje -

krzyk i latarka. Obok apteczki  
umieszczamy – deszczak.

schodzą po godzinie 17. Grzęda jest  
okrągła, za to zebro – trójkątne.

Podczas zjazdu  
na wietrze –  
obciążamy  
koniec liny za  
pomocą  
węzła, lub

Kiedy  
chcemy  
poczytać,  
sięgnijmy do –  
Małego

STARY MASZ COŚ DO  
ŻARCIA ?

NIE, ALE ZROBIMY  
SE ZUPEŁNIE Z RAKÓW.

przymocowujemy tam  
coś ciężkiego. A potem  
– asekuruję się  
karabinkiem do  
liny.  
Krzyczę i  
jadę.



asekuranta, albo do periodyku –  
My i alpinizm. Powodzenia. Jeśli  
złamiemy obojczyk, wtedy – zakładamy  
mu trójkąt. Inna metoda poleca –  
opaskę na szyję i nadgarstek. Na  
krwotok nie ma jak – gaza, bandaż i  
koszula.

Wracając do wspinania. Skale  
trudności są proste: II – droga śmiesznie  
łatwa, IV – dla początkujących, V –  
dość trudna, dla wytrwałych  
wspinaczy. Albo: II – prosta, IV –  
przeciętna, V – trudniejsza. Wiedzieć i  
pamiętać należy, że - lawiny w Alpach

Najważniejsze, że - członkowie KWO  
wspinali się we wszystkich górach  
świata!

Wytuszczenia to cytaty z  
zachowaniem oryginalnej ortografii.

# Przezviska z betonu i lamperii

<b>Akutol</b> –	Andrzej Akutowicz
<b>Bądzil</b> –	Andrzej Wandas
<b>Bracia</b> –	Krzysztof i Piotr Spychała
<b>Brat Pit</b> –	Piotr Spychała
<b>Człowiek Beczka</b> –	Jarosław Banasik
<b>Demon</b> –	Ewa Kasprowicz
<b>Doktór</b> –	Janusz Berdyński
<b>Drop</b> –	Paweł Naguszewski
<b>Długi</b> –	Krzysztof Moroz
<b>Endemit</b> –	Tomasz Bajerowski
<b>Głowaś</b> –	Andrzej Głowacki
<b>Granat</b> –	Piotr Minkiewicz
<b>Gruby</b> –	Stanisław Korybut-Daszkiewicz
<b>Harry</b> –	Cezary Charydczak
<b>Hibernatus</b> –	Ireneusz Plichta
<b>Jan Paweł</b> –	Paweł Gołaszewski
<b>Jarząbek</b> –	Krzysztof Jachimowski
<b>Jerry</b> –	Jerzy Pepol
<b>Junior</b> –	Jarosław Zdanowicz
<b>Kasownik</b> –	Janusz Berdyński
<b>Katarakta</b> –	Krzysztof Skłodowski
<b>Kokakola</b> –	Andrzej Mierzejewski
<b>Komandos</b> –	Robert Smolik
<b>Komar</b> –	Marcin Powarunas

<b>Krawiec</b> –	Arkadiusz Krawczyński
<b>Kudłata</b> –	Anna Prostko-Alicka
<b>Kudłaty</b> –	Marek Alicki
<b>Leszczu</b> –	Aleksander Leszczyński
<b>Lysy</b> –	Andrzej Głowacki oraz Roman Pawłowicz
<b>Makabra</b> –	Hanna Koziarek
<b>Mała Wrona</b> –	Miroslaw Dunin-Sulgostowski
<b>Malpa</b> –	Jerzy Sołomniewicz
<b>Mioduch</b> –	Mieczysław Mioduszewski
<b>Mięśniak</b> –	Dariusz Matczuk
<b>Misiu</b> –	Michał Szymański
<b>Młody</b> –	Marek Pepol
<b>Niebieskooka</b> –	Wioletta Czarnecka
<b>Niedbaluch</b> –	Sławomir Niedbalski
<b>Nikolas</b> –	Paweł Wojas
<b>Oszalały Kangur</b> –	Jan Walenciej
<b>Panienci</b> –	Małgorzata Jurewicz, i Aleksandra Kosakowska
<b>Papuga</b> –	Paweł Juszczyzyn
<b>Pieniądz</b> –	Tomasz Pirowicz
<b>Pietrek</b> –	Piotr Więsek
<b>Piękna</b> –	Danuta Gosiewska
<b>Ptyś</b> –	Robert Tyska
<b>Ruda</b> –	Joanna, Kama Korybut-Daszkiewicz [de domo Jankowska]
<b>Ruda Kaśka</b> –	Katarzyna Banasik
<b>Sędzia</b> –	Darek Firkowski
<b>Sierżant</b> –	Roman Zakrzewski
<b>Świrek</b> –	Darek Firkowski
<b>Statystyk</b> –	Janusz Bojarski

Szarak –	Przemysław Szarlik
Szczupła –	Iza Werner
Truchan –	Jerzy Truchanowicz
Troczek –	Jerzy Zachariasz
Ułaz –	Marcin Ułasik
Uszaty –	Paweł Gołaszewski
Wajdas –	Andrzej Wandas
Watra –	Tomasz Kucharzewski
Wąż –	Jerzy Kochański
Wrona –	Mirosław Dunin-Sulgostowski
Wypłosz –	Mariusz Walawski
Złoty –	Janusz Bojarski

Uzupełnienie redakcji: Powyższy zestaw opracował **Hans Kloss**  
(znany też jako **Andrzej Kłos**).

---

**Bystre newsy Bystre newsy Bystre newsy Bystre newsy Bystre newsy Bystre newsy Bystre newsy Bystre n**

---

*W czerwcu był ruch w dziedzinie matrymonialnej. Ożenił się Mirek Sulgostowski. Poza tym mamy kolejne całkiem klubowe (tzn takie, w którym oboje współmałżonkowie należą do naszego Klubu) małżeństwo: Ania (zd. Bobko) i Paweł Juszczyznowie.*



*Zaszczycili ten świat swoją obecnością Aleksandra i Adam Przybylakowie, Aleksander Głowacki oraz Witold Andrzej Banasiak.*



*Kolejni Olsztynianie byli w Atlasie Wysokim (Maroko). Andrzej Głowacki i Olek Leszczyński oraz niezależnie od nich Marcin Koziół weszli na Tubkal (4165), najwyższy szczyt tych gór.*



*Kasia Skłodowska i Marek Pawłowski wspinali się zimą w Dolinie Kieźmarskiej. Największą satysfakcję sprawiła Im pn-zach. grań Małego Kieźmarskiego Szczytu (WHP 3379).*



*Pamir został ponownie zaatakowany – w roku bieżącym w sierpniu na Pik Lenina usiłował się wdrapać Marcin Koziół.*

## Przez Kryskę i Grubego

O wspinaniu nic nie wiedziałem, zanim nie spotkałem Kryški. Było to w Bieszczadach na Hnatowym Berdzie. Przy ognisku Kryška opowiadała, że jej kolega jest taternikiem. Nie bardzo wiedziałem, co to słowo oznacza, bo i skąd, kiedy się człowiek wychował wśród „tysiąca jezior”. A tu Kryška mówi, że jakiś gość po pionowych skałach łązi, kiedy ja zdycham na połoninach. Taki był mój pierwszy, pośredni, kontakt ze wspinaniem.

Szedłem sobie wieczorem, w październiku 1971 roku, niedaleko Instytutu Gleboznawstwa w Kortowie i spotkałem Grubego, czyli Stanisława Korybuta-Daszkiewicza, kolegę ze szkoły średniej. Stachu powiedział – Chodź się turystycznie po górach, może być przyszedł na kurs taternicki, właśnie go organizują. Jest tam jeszcze paru znajomych z „dwójki”, czyli LO 2. Spotkanie było za kilka dni w jednej z sal Nowej Zootechniki. Rzeczywiście była Baška Tomaszewicz, Itka Maciejska, Grażyna Kołodziej, Jasiu Majerski i inni, wtedy jeszcze nieznanymi. Zajęcia prowadził szczupły gość z brodą, Jurek Pepol. Kursowi patronował Klub Wysokogórski w Toruniu.

Przyjechał kiedyś Tadek Łaukajtyś ze slajdami z Maroka, które pokazywał w AKT, gdzie przeniesiliśmy spotkania. Z wrażenia oniemiałem. Na zebraniach poznałem pozostałych uczestników kursu: Ankę Wnukowską (dziś Pepol), Reginę Nowicką, Jurka Kochańskiego, Mietka Mioduszewskiego, Zenka Drabowicza, Andrzeja Mierzejewskiego, Wieska Szarleja i paru innych. Było nas tam ponad 20 osób, kurs teoretyczny skończyło 14, a COS 11 osób. Jest to o ile wiem rekord do dzisiaj nie pobity.

Wykłady były solidne i miały szerszy zakres niż te na dzisiejszych kursach. Za to praktyki nie było prawie wcale. Zaliczyliśmy jeden dzień na wieży triangulacyjnej. Były zjazdy i prusikowanie. Mietek wtopił sobie elanowe spodnie w udo, podczas zjazdu w kluczu, a Gruby mlasnął o glebę pokazując podstawy hakówki. Tej wiedzy było dość, żeby pomyślnie zdać egzamin na COS na Hali Gąsienicowej. Stachu zwracał jeszcze uwagę na kondycję – Trenujcie chłopaki, bo w Toruniu są świetne dziewczyny i będzie głupio, jak popadacie na podejściu. Taka Baška to wam dopiero pokaże. Co kto komu pokazywał to już jest dalsza historia. Dla mnie przygoda z taternictwem, czy jak kto woli z alpinizmem, rozpoczęła się od opowiadania przy ognisku i od spotkania na kortowskiej alejce. A było to 30 lat temu.

*Andrzej Kłós*

**Z cyklu: „Rozkosze Gór” (część 2)**

